



ROZMOWA Z JACKIEM FEDOROWICZEM

KOLEGA KIEROWNIK WRÓCIŁ

Nie ma czasów, które by się nie nadawały do komedii. Pytanie, czy znaleźliby się odbiorcy. Na razie nie przeczuwam tłumów, które chciałyby na ekranie oglądać absurdy kaczyzmu
– mówi **JACEK FEDOROWICZ**

ROZMAWIA DARIUSZ ĆWIKŁAK

NEWSWEEK: Kolega Kierownik z pańskich audycji z lat 70. wrócił? Niedouczony karierowicz i oportunistą obezwładniony polszczyzną... Przecież to jak o niejednym współczesnym polityku.

JACEK FEDOROWICZ: Wrócił. Prawie niezmieniony. Tu wyjaśnię młodszym czytelnikom: to była stała postać w audycji radiowej w Trójce, która leciała co tydzień i miała – powiem nieskromnie – ogromne powodzenie. „Kolega Kierownik” oszałamiającą karierę zawdzięczał chyba obserwacji, że każdy szef w PRL jest głupszy od podwładnych. Każdy słuchacz miał takiego szefa, więc postać była lubiana jako „prosto z życia” i odczytywana jako symbol komunistycznej władzy. Szef głupszy od podwładnych był zasadą ustrojową: jeżeli władza nie zależy od wyborców, jeżeli rządzi mafia czy monopartia, czy jak to nazwiemy, to na stanowiska kierownicze powoływani są w pierwszej kolejności wierni, ślepo posłuszni, a jednocześnie wystarczająco niezdolni, by bez partii dojść w życiu do czegoś. Jeżeli dzisiaj widać na każdym kroku podobne zjawisko, to trudno nie mieć wrażeń,

że już się to kiedyś przeżywało. Co oznacza jeszcze jedno: że mamy powody, by się obawiać, że władza, konkretnie prezes di tutti prezesi, już dojrzał do decyzji, żeby zrezygnować z usług wyborców i rządzić dalej, nie pytając ich o zdanie. Dotychczas pytał, znaczy zezwalał na wybory, bo słusznie liczył na to, że wygra, manipulując i kręcąc tylko „troszkę”. Ale tak dłużej chyba się już nie da.

Niedawno wskrzesił pan Kolegę Kierownika na YouTube.

Podrzucił panu torbę pełną euro jako łapówkę za poparcie dla partii rządzącej. Pan torbę wyrzucił, ale wiele osób prezenty przyjmuje, przymykając oczy na uczynki ofiarodawcy.

– Nie spodziewałem się, że aż takie tłumy będą przymykały oczy na aż takie uczynki. I aż tak długo. To przymykanie oczu to już jest jakiś przerażający powiekościsk.

Moje poletko doświadczalne na YouTube to taka prywatna Telewizja Domowa do znalezienia pod hasłem „Fedorowicz channel”. Z wielką frajdą kręcę filmiki przy pomocy niewymyślnego sprzętu. I tu mam też déjà vu, bo w latach 80. rozkręciłem jedno-



„**DZIŚ WICEPREMIER, PREMIER, KAŻDY MOŻE POWIEDZIEĆ KAŻDE KŁAMSTWO I BZDURĘ, JUŻ NIE MA ŻADNYCH GRANIC, PO KTÓRYCH NIEDORZECZNOŚĆ BYŁABY OCZYWISTA**

osobową wytwórną, produkując masowo antyrządowe programy na kasetach wideo. Władza tego nienawidziła, co dawało mi poczucie społecznej użyteczności. Na YouTube zacząłem niecały rok temu, ale się rozkręca. Filmik o woltach Pawła Kukiza miał 164 tys. widzów. Ciągłe mi się to wydaje za mało, ale grzechem byłoby narzekać.

Po stanie wojennym pańskie parodie „Dziennika Telewizyjnego”, z podłożonym złośliwym komentarzem, krążyły na kasetach po całym kraju.

– Ma pan rację, że po stanie wojennym, ale nigdy nie dzieliłem lat 80. na stan wojenny i jakiś inny, niby lepszy po odwołaniu, bo dla mnie nie miało znaczenia, że władza coś odwołuje czy inaczej nazywa. Do tego już się przyzwyczaiłem. Można przecież zakończyć stan wyjątkowy na granicy z Białorusią i praktycznie nie zmienić prawie nic, prawda?

W TVP wciąż słychać, że na granicy prawie wojna i trzeba wspierać wojsko pieśnią i płasem. Groteskowy koncert w bazie w Mińsku Mazowieckim sam w sobie wyglądał jak parodia.

– Nie oglądałem. Nawet gdybym się przymusił do włączenia TVP, to nie mógłbym spokojnie oglądać, zapominając, że w tym samym czasie na tej granicy ludzie umierają.

W latach 80. na ekranach była tylko TVP. Nagrywałem „Dzienniki” i potem godzinami podkładałem antykomunistyczne teksty pod ruch ust czołowych komunistów. Powstawało pełne złudzenie, że np. ówczesny wicepremier Rakowski opowiada, jak zatrudnił się jako opiekunka do dzieci u Wałęsów. Dziś to nic nadzwyczajnego, ale 40 lat temu nikt tego nie robił. To było fałszerstwo rzeczywistości tak wtedy sugestywne, że ktoś nieuprzedzony, oglądając ten mój „Dziennik” przez kilka minut, myślał, że ogląda prawdziwy i dopiero jak zaczynały do niego docierać te teksty...

Korciło pana, żeby przerabiać „Wiadomości” z telewizji Kurskiego?

– Tego bym się nie podjął. Tam już jest wszystko tak przerobione, że trudno zrobić przeróbkę tak wyolbrzymioną, że śmieszną. Kurski prześcignął peerelowską telewizję w kreowaniu fałszywej rzeczywistości. W latach 80. jeszcze można było wymyślić



„Nie ma róży bez ognia”,
reż. Stanisław Bareja, 1974 r.
Na zdjęciu Jacek Fedorowicz
i Jerzy Dobrowolski

groteskowe kłamstwo, które po chwili stawało się oczywiste, albo tekst, który był tak absurdalny, że nie mógł być wypowiedziany przez partyjnego dostojnika. Dziś wicepremier, premier, każdy może powiedzieć każde kłamstwo, każdą bzdurę, już nie ma żadnych granic, po których niedorzeczność czegokolwiek byłaby oczywista. I czasami myślę, że to jest robione celowo. Z jednej strony zamierzone fałszerstwo wbija do głów na zasadzie: „każde kłamstwo powtórzone... itd.”, a z drugiej utwierdza odbiorcę w poczuciu, że z władzą się nie wygra. Kiedyś cesarz rzymski mianował ulubionego konia senatorem, by pokazać poddanym, że wszystko może. Nie chciałbym, z wrodzonej delikatności, a także z niechęci do twardych ławek przed wejściem na sale rozpraw, wymieniać nazwisk osób, które równie nie nadają się do zasiadania w Trybunale Konstytucyjnym jak ów koń w senacie.

To autocenzura? W książce „Ja jako wykopalisko” opisał pan, że autocenzura to najdoskonalsza forma kontroli, do której dążyła cenzura w PRL. Urzędu na Mysiej nie ma od 30 lat, ale mechanizmy cenzury znów działają: polityczne, ekonomiczne. Wiele osób woli się ugryźć w język czy klawiaturę, nim coś powie albo napisze.

– Zaczę jak symetrysta. Autocenzura jest, była i będzie w każdym systemie. Cenzuruję to, co piszę, już na etapie pierwszego słowa. Chciałbym na przykład powiedzieć, że tak, zgadzam się z niedawną okładką „Newsweeka”, bo państwo Górniak, Pospieszalski czy Rymanowski są dla mnie niewątpliwymi siewcami głupoty, ale zaraz przychodzi mi na myśl, że po co sobie robić kłopot? Niby sprawa sądowa to świetna reklama: kanał by się lepiej rozkręcał i zaproszenia na wieczory autorskie waliłyby drzwiami i oknami, ale z drugiej strony to nudne siedzenie w sądzie na korytarzu, eee... lepiej powiedzieć nie „siewcy głupoty”, tylko „propagatorzy nierozsądku”.

To mogłoby się najwyżej skończyć sądowym sporem między obywatelami. Gorzej, kiedy sądem straszy państwo.

– Ten mechanizm jest odwieczny. Podstawowa różnica między cenzurą w PRL a cenzurą dziś jest taka, że do połowy lat 70., czyli do czasu powstania pierwszego KOR-owskiego wydawnictwa niecenzurowanego, autor nie miał wyboru. Jeżeli wydawnictwo czy radio coś odrzuciło, to koniec, nie było dokąd pójść. Dziś są tysiące możliwości.

Jest internet, każdy nosi profesjonalną kamerę w kieszeni, a kabaretów jest zatrzęsienie. Ale satyra stroni od polityki.

– Satyrycy stronią od satyry politycznej, choć przecież nie wszyscy – weźmy Roberta Górskiego, Zenona Laskowika, Tomasza Jachimka, Romana Żurka, Krzysztofa Daukszewicza i wielu innych – ponieważ chcą żyć ze swej pracy. Produkują tylko taką ilość towaru, na jaką jest popyt. Na satyrę polityczną popyt jest, ale tak niewielki, że aż to pana – jak wyczuwam – martwi. Tymczasem to zjawisko wytłumaczalne. PRL długie lata pracował na to, by pokazać, że zmierza w złym kierunku, ludziom – mimo różnych skoków – w sumie było coraz gorzej, a jednocześnie cenzura nie pozwalała mówić o tym wprost. Zacząłem uciekać w satyrę, gdy jako młody człowiek zorientowałem się, że nie będę umiał w tym systemie być uczciwym dziennikarzem, a o dziennikarstwie marzyłem w klasie maturalnej. Więc najpierw studia malarskie, żeby w ogóle nie być zmuszanym do pisania i mówienia, a zaraz potem teatr studencki, aluzje, metafory i że to wszystko tak tylko dla śmichu.

Tak, satyra była w PRL poszukiwana. Dzisiaj zadowolone ze swego położenia społeczeństwo (jego jedna trzecia) – nie chce satyry. Do tego dochodzą ci, którzy chcą zapomnieć o tym, że położenie się pogarsza, a w perspektywie rysuje się przejście z Unii do Putina (to druga jedna trzecia). Oni też nie kupią biletu na występ, nie kupią książki, nawet za darmo nie obejrzą na YouTube, jeżeli tylko się zorientują, że będzie o polityce. Pozostaje trzecia część, która jest nastawiona patriotycznie i chciałaby powstrzymać upadek kraju. Ona jednak chyba zdaje sobie sprawę z mini-



„Motodrama”,
reż. Andrzej Konica,
1971 r. Grają Krystyna
Sienkiewicz i Jacek
Fedorowicz

Na planie satyrycznego programu
„Dziennik Telewizyjny”, 2000 r.



” **KIEDY PRZEZ
PRL-OWSKIE DZIESIĘCIOLECIA
TĘSKNIŁEM ZA DEMOKRACJĄ,
WYDAWAŁA MI SIĘ SYSTEMEM
ZNACZNIE LEPSZYM, NIŻ SIĘ
TO OKAZAŁO. MIAŁEM
CAŁKOWICIE MYLNE
WYOBRAŻENIE O STANIE
DUCHA POLAKÓW.
PRZECENIAŁEM NAS**



malnej sprawczości satyry politycznej i też jej nie szuka. Od czasu do czasu tylko po nią sięga, żeby sobie zafundować chwilę przyjemności. Ot, spotkamy się, utwierdzimy w poglądach...

To mało śmieszne, że polityka stała się tak ponura.

– Za PRL władza, owszem, dbała, żeby nieprawomyślne słowa nie padały na łamach czy ze sceny, ale jednocześnie cały czas kokietowała twórców, prowadziła z nimi grę, często mrugała okiem, że my też myślimy podobnie krytycznie o tym całym socjalizmie, ale wicie-rozumiecie, Związek Radziecki nie pozwala, więc tu wam skreślimy, tu coś zostawimy, a tam poprosimy, żebyście nas pochwalili. Władza starała się mieć jakie takie poparcie w społeczeństwie, a przynajmniej brak czynnego sprzeciwu. Dziś władza zwraca się tylko do „swojego” społeczeństwa. Resztę wydaje się mieć w nosie. Powtarza, że jest świetnie i dalej tak będzie, i ta jedna trzecia społeczeństwa przyjmuje to bez zastrzeżeń. Wierzy, bo chce wierzyć, bo tak wygodniej, nie przeszkadza jej, że kradną, bo przecież się dzieli, granic dzielnie bronią, do szczepień nie zmuszają, jest okej. Reszta nie wierzy, ale cenzurować tej reszty nie trzeba, niech sobie pokrzyczy, ponarzeka, podemonstruje. My, władza, możemy to ignorować tak długo, jak długo mamy policję, wojsko, obronę terytorialną, straż graniczne, celne, więzienne, służby tajne, jawne i bojówki poobwieszane znaczkami Polski Walczącej, opatulone w biało-czerwoności. No i tę jedną trzecią otumanionych, co za nami w ogień wskoczą. A jak by już bardzo źle szło, to poprosimy o pomoc Putina.

W 1984 r. narysował pan „Portret nieznanego mężczyzny z wąsem”, czyli Lecha Wałęsę, którego władza chciała zamilczeć. Przed wyborami w 2007 r. dla „Gazety Wyborczej” narysował pan naklejkę „Uważaj, Mały Brat patrzy!”. Mały Brat w końcu wrócił i teraz on próbuje zamilczeć Wałęsę.

– Nie doceniłem specyfiki demokracji, która przy nieszczęśliwym splocie okoliczności potrafi wynieść do władzy sprytnych przeciwników demokracji, którzy będą ją kunsztownie



rozwalać. Kiedy przez PRL-owskie dziesięciolecia tęskniłem za demokracją, wydawała mi się systemem znacznie lepszym, niż się to u nas okazało. Znałem sentencję Churchilla o demokracji, ale nie przewidywałem, że może z tego wynikać u nas jakieś nieszczęście, bo miałem całkowicie mylne wyobrażenie o stanie ducha Polaków. Przeceniałem nas.

We wspomnieniach podkreśla pan, że PRL nie był okresem jednorodnym. Kiedy pisze pan o czasach studenckich i teatrze Bim-Bom, to ma się wrażenie, że był to czas artystycznej swobody.

– Czasy Bim-Bomu to było wahnięcie systemu w dobrą stronę. Krótki okres swobody artystycznej z punktem kulminacyjnym w okresie zwanym Polskim Październikiem. Pamiętam: przyjeżdżamy na przedstawienia w Stalinogrodzie, po kilku dniach wyjeżdżamy z Katowic. Bo oto w trakcie naszych występów przywrócono miastu starą nazwę, a tablice „Stalinogród” usunięto. Spektakle naszego drugiego programu graliśmy w Krakowie i chyba nawet co wieczór szybko zmienialiśmy program na jeszcze odważniejszy, czy może raczej: mniej skryty za aluzjami. Cenzura nie reagowała. Ale po październiku 1956 roku swoboda znowu odchodzi w siną dal. Drugą wielką porcję swobody przeżyłem dopiero za Solidarności, tej prawdziwej, czyli 1980-1981.

Pyta pan, jak traktowaliśmy nasz teatr. Najogólniej rzecz biorąc, jako wyraz sprzeciwu wobec stalinizmu, który był strasznym doświadczeniem, dla niektórych przedłużeniem terroru hitlerowskiego. Skromniutki i nieśmiały wyraz to był, wyrazik, rzecz można, ale trzeba pamiętać, że pierwsze próby zaczęły się jesienią 1954 r. – stalinizm wciąż jeszcze był w pełnym rozkwicie. Wtedy parodia akademii „ku czci” i pokazanie w jej miejsce poetyckich scenek w kolorowej scenografii to była prawdziwa rewolucja.

Uderzające było wspomnienie, jak Zbigniew Cybulski, kojarzący mi się ze zbuntowanym Maćkiem Chełmickim z „Popiołu i diamentu”, tłumaczy panu, jak zaprojektować słuszną politycznie okładkę „Księgi pamiątkowej” Bim-Bomu.

– Zbyszek poprosił, żebym narysował coś, co da mu pretekst do przekonywania w rozmowach z władzą, że my nie jesteśmy kontrrewolucjoniści na żołdzie odwetowców, tylko że niewinnie propagujemy radość życia, niesprzeczną przecież, towarzysze, z ideami Marksa i Engelsa.

Miał pan szczęście trafić wtedy od razu do środowiska gigantów: Cybulski, Bogumił Kobiela, Agnieszka Osiecka, Wowo Bielicki, Jerzy Afanasjew, Janusz Morgenstern...

– Andrzej Wajda, Sławomir Mrożek, Roman Polański i dalej długa lista...

To się czuło już wtedy?

– Podziwiałem ich. Byłem najmłodszy w ich gronie, więc fascynacja starszymi kolegami mogła chwilami przechodzić w bałwochwalstwo. I przechodziła (Kobiela!), nie przypominam sobie jednak, żebym kiedykolwiek przewidywał, że oni przerosną kiedyś tych jeszcze starszych, uznanych, wielkich. Ale tu wyjątkowo nie będę się tłumaczył z niezdolności do trafnego przewidywania, ponieważ to nie były czasy, kiedy ktoś zdolny mógł liczyć na sławę czy choćby docenienie. Raczej przeciwnie. Jako

„**TAK, SATYRA BYŁA W PRL POSZUKIWANA. DZISIAJ ZADOWOLONE ZE SWEGO POŁOŻENIA SPOŁECZEŃSTWO (JEGO JEDNA TRZECIA) – NIE CHCE SATYRY**



BANKNOT, KTÓRY PREZES GLAPIŃSKI WYEMITUJE PRZED WYBORAMI. NA BANKNOCIE JEST UWIECZNIONY JAROSŁAW, NIE LECH. NOMINAŁ JEST INNY (200 ZŁ) ALE SIŁA NABYWOCZA BĘDZIE TAKA SAMA.

przedwcześnie wyedukowany inteligent właśnie to o tym systemie wiedziałem na pewno.

Od dziecka fascynował pana film. Zadebiutował pan u Morgensterna, grał u Wajdy, współpracował ze Stanisławem Bareją. Do „Poszukiwanego, poszukiwanej” i „Nie ma róży bez ognia” razem pisaliście scenariusze. Uznaliście, że system można pokonać tylko śmiechem?

– Może nie od razu pokonać, ale na pewno pokazać jego absurdy. Żyliśmy wtedy w stałej obawie, że ludzie dadzą się ogłupić. Żeby z tym walczyć, Staszek przy każdej okazji przywoził do Polski cały bagażnik wyładowany nielegalną literaturą. Wszystko, co wydawała paryska „Kultura”, przeczytałem dzięki niemu. W dwóch sprawach dobraliśmy się idealnie: obaj byliśmy przeciwnikami idiotycznego systemu gospodarczego zwanego socjalizmem i obaj uważaliśmy, jako – przepraszam, że użyję tego stale wypaczanego określenia – patrioci, że drugim podstawowym nieszczęściem Polski jest brak niepodległości. Tęsknotę za jednym i drugim staraliśmy się przemycać na różne sposoby.



Jacek Fedorowicz
podczas treningu
nad Wisłą w Warszawie

Co chwila słyszymy: „to, co wyprawiają, jest jak z filmów Barei”, ale współczesnego Barei jakoś nie widać.

– Nie ma czasów, które by się nie nadawały do komedii. Pytanie, czy znaleźliby się odbiorcy. Na razie nie przeczuwam istnienia tłumów, które chciałyby na ekranie oglądać absurdy kacyzmu. O tym już mówiliśmy. Ale może nie mam racji, może rzecz polega na tym, że mnie w pewnym momencie zupełnie to przestało śmieszyć i że za bardzo się tym przejmuję? Jednak za PRL degrengolada moralna przebiegała wolniej. A do tego kacyzm zrzuca nas ze znacznie wyższego konia. Przyzwyczailiśmy się nieopatrznie, że Polska się rozwija, że cenią nas na świecie, i do podobnych dobrodziejstw. I myśleliśmy – o naiwności bezbrzeżna! – że już tak będzie.

Jak się pracowało z Bareją?

– Staszek zaprzeczał stereotypom wiążanym zwykle z zawodem humorysty: ponurego faceta z poważną miną wymyślającego śmieszne kawałki. Bawił się znakomicie, opowiadając kolejne epizody, on w ogóle bawił się życiem. Był niesłychanie sprawnym obserwatorem, to, co zobaczył, potrafił też udratyzować, rozwinąć w opowieść. A ja potrafiłem sprawnie pisać na maszynie. I miałem bardzo dobrą pamięć do wszystkiego, co Staszek opowiadał. No, może czasem coś udawało mi się dorzucić z grobową miną. Niestety, po „Nie ma róży bez ognia” władza znieubiła nas do reszty. Napisaliśmy około dziesięciu scenariuszy, wszystkie były – powiem, nikt nie sprawdzi przecież – bardzo dobre i ani jednego nie zdołaliśmy już przepchać przez wszechmocne, a czujne władze kinematografii.

Państwowe oko było mniej czujne w Trójce, gdzie tworzył pan „60 minut na godzinę”, m.in. z Marcinem Wolskim, dziś wiernym publicystą w TVP Kurskiego. Zaskoczenie?

– Bolesne doświadczenie. I kolejna pozycja w spisie, czego się po ludziach nie mogłem spodziewać. Mój błąd. To stałe przecenianie. A niedocenywanie siły pieniądza.

Kiedy powstała Solidarność, zapisał się pan, bo była to „pierwsza organizacja, do której mógł pan wstąpić z czystym sumieniem. W wieku 44 lat”. Nie boli pana to, czym stała się dzisiaj?

– Boli bardzo. I stanowi fragment kolejnego doświadczenia życiowego. Nie chciałbym wracać do wątku moich zdolności antycypacyjnych, który się uparcie przewija przez naszą rozmowę, więc tego, co teraz powiem, proszę nie traktować jako przepowiedni, ale kiedy patrzę na Solidarność, umiem sobie dzisiaj wyobrazić inne nazwy, które mogą kiedyś w podobnym stopniu stracić swój sens. Na przykład „Newsweek” z niezmienną winietą, którego naczelnym jest red. Rymanowski. Albo „Gazeta Wyborcza”, która pod wodzą red. Marka Suskiego zasila koncern prasowy Tadeusza Rydzyka. Ale do tego nie dojdzie. Tu już nie zawiodę jako przewidywacz.

W jednej z książek pisał pan, że w dzieciństwie sport to nie był pana żywioł. A dziś regularnie pan biega, pisze felietony w piśmie dla biegaczy. Skąd ta zmiana?

– Tu muszę sprostować, w pytaniu powinien być wyłącznie czas przeszły. Biegałem i startowałem bardzo regularnie na długich dystansach, pisałem regularnie o biegach. W młodości sport nie był mi pisany. Zmiana stąd, że zacząłem dbać o zdrowie. Od początku lat 80. powtarzałem, że dbam, żeby zobaczyć upadek PRL. Dbałem dość maniakalnie, nawet przez około 50 lat byłem abstynentem. Dbałość z wiekiem się pogłębiała i dała bardzo dobrą kondycję ogólną, dzięki której wiem na pewno, że koniec władzy Jarosława Kaczyńskiego będę oglądał na własne oczy i będę miał siłę, żeby się tym cieszyć. **N**

dariusz.cwiklak@newsweek.pl

JACEK FEDOROWICZ (1937) JEST SATYRYKIEM, AKTOREM, SCENARZYSTĄ, DYPLOMOWANYM PLASTYKIEM. DZIAŁAŁ W SOLIDARNOŚCI ORAZ PRYMASOWSKIM KOMITECIE POMOCY OSOBOM POZBAWIONYM WOLNOŚCI I ICH RODZINOM